

PIERWIASTEK ABSOLUTNY

– We're running short of Absolut – powiedziałam do Zbyszka, otwierając zamrażarkę. Po obcemu, bo dzieci słuchały. A skoro zdecydowaliśmy się na wychowanie w trzeźwości, pewnych rozmów woleliśmy im oszczędzić. Ale Kinia to dociekliwa bestia, nie dawała za wygraną.

– Co ty powiedziałaś, mimuś? – spytała niewinnym głósikiem.

– Na pewno coś o Bogu – wtrącił Zbyszek.

– Ta – przyznałam – Bóg umarł.

– Prawie, kochanie, prawie – sprostował przytomnie. – Jeszcze kona.

Zawsze zależało mu na precyzji. Precyzja, pragmatyzm, prostolinijność – trzy P, które go określały, przeciwstawione moim: płacchliwosci, płochliwosci i pięknu. Dzieci wyszły nam z tego idealne: pyskate i pobudliwe.

To przez sąsiadów z parteru chcieli nam je odebrać. Z zazdrości. Ci spod czternastki mieli mało rozgarniętego niemotę, ze wzrokiem wiecznie wlepionym w tablet. Nawet jeśli czasem zdarzyło mu się od niego oderwać, z jego spojrzenia, pozbawionego nagle punktu zaczepienia, wizerowała pustka. Pustka sterylnie wysprzątanymi mieszkań i głów, których nie zasiedla żadna myśl. To było środowisko, w którym powstał, którym nasiąkał i którego zasady miał w przyszłości powielać. Pachniało cifem, wybrzmiewało litaniami wieczornych reklam przed telenowelą o 20. Na ich miejscu też bym kipiła z zawiści. Ale żeby zaraz zawiadamiać opiekę spofeczna?

Przyszła w piątek, wczesnym popołudniem, Zbyszek akurat gotował fasolkę. Tyle się mówi o niskich pensjach w budżetówce, a tu proszę: szpilki Jimmy Choo, sukienka też jakaś taka raczej nie z kosza w Leclercu. Pasjonatka. Nie mogliśmy trafić gorzej. Przemknęło mi przez głowę, że tego dnia powinnam sobie darować puszczenie totka. Rozsiadła się na kanapie akurat w miejscu, na które Eduś zwymiotował wczoraj po chrupkach. Jeszcze było trochę czuć.

– Chciałabym przyjrzeć się bliżej relacjom panującym w rodzinie – powiedziała głósem tak miłym, że aż odpychającym. A więc podglądaczka. Mogłam się domyślić.

– Mamo, poczytasz mi o tym panu, co się zmienił w robala? – Kinia wynurzyła się z sypialni z zielonym tomem opowiadań Kafki. Świetne wydanie, PIW-owskie.

– Czytacie dziecku *Przemianę*? – paniusia nie kryła nie tyle oburzenia, ile obrzydzenia. Zbyszek oderwał się od fasolki. Zrozumiał, że jesteśmy załatwieni.

Prawdziwa zabawa zaczęła się jednak dopiero wtedy, kiedy zawiadomiono przed-szkole.

– Taki mamy obowiązek – tłumaczyła lalka w szpilkach z Brackiej, udając niezbyt przekonująco, że jest po naszej stronie. – Nawet jeśli ostatecznie nie stwierdzimy żadnych nieprawidłowości.

– Ostatecznie, czyli kiedy? – dopytywał Zbyszek, wyznawca ścisłości i konkreту. Pani uśmiechnęła się krzywo. Zauważyłam, że jej lewa powieka trochę pulsuje. Nerwy albo niedobór magnezu. Albo i to, i to. I jeszcze coś.

– Zobaczmy – powiedziała ochryple. Najwyraźniej z przejęcia zapomniała odkaszląć. W tamtej chwili autentycznie jej współczułam.

Dwa dni później przestała się do mnie uśmiechać pani Ela z Misiów, do których chodził Krzyś. Pani Alicja z Pszczółek, starszej grupy Kini, trzymała się jeszcze przez tydzień, ale w końcu i ona zaczęła czepiać się nieuprasowanych ubrań. A przecież matka mnie ostrzegała. Spodenki na gimnastykę w kant, bluzki bez plam. Uszy czyste, paznokcie obcięte nożyczkami i spilowane. I prace na konkursy plastyczne wykonywać techniką olejną na płótnie, by przedszkolak miał szansę na wygraną. Oczywiście z dala od dziecka, bo od terpentyny mogłoby się porzygać. Weszłam na Eurazja AGD. Pokornie złożyłam zamówienie na żelazko z funkcją inteligentnej pary.

Chociaż urzędniczka nie tłumaczyła się nam z grubych tysięcy, które nosiła na swoim wysuszonym ciele, sama wypytywała o dochody z dociekliwości pracownika skarbowki. Pracownika miesiąca. Jak my tę trójkę dzieci karmimy z marnego stypendium doktoranckiego? Zbyszek pocił się z nerwów, ale sam był ciekaw. Na początku semestru obcięli mu jeszcze kilka stów, bo zakres badań okazał się nierokujący. Niby wybrał teorię moralną SI z czystej kalkulacji, w końcu wszędzie trąbili o tym, że sztuczna inteligencja to przyszłość naszej cywilizacji. A tu nagle prozę, kilka ogólnoswiatowych kryzysów i okazuje się, że cywilizacja radzi sobie doskonale zarówno bez inteligencji, jak i bez moralności. W jednej chwili cofnięto granty i zredukowano stypendia. A nasze młode pokolenie rośło i jadło coraz więcej. Musiałam wziąć sprawy w swoje ręce, nawet jeśli ręce nie przestały boleć od ciągłego noszenia dzieci.

Myślałam przez trzy noce. Czwartej padłam jak nieżywa i spałam do rana, nie bacząc na liczne próby wybudzania w celu utulenia, nakarmienia i pocałowania w czoło. Piątej nocy wymyśliłam. Odkurzyłam kontakty z czasów studenckich, a pomiędzy kaszką, parówkami i placem zabaw odbyłam kilka rozmów telefonicznych. Szóstej nocy zaczęłam pisać.

Ghost writing okazał się idealną opcją. To nie było zwykłe pieczenie dwóch pieczeni na jednym ogniu. Bardziej gotowanie trzech pełnowartościowych posiłków w jednym parowarze – warstwami, momentalnie, bez straty cennych witamin. Nie musiałam pozwoli budować nazwiska, bo pożycztałam je sobie od zmęczonych literackich celebrytów. Ci byli wdzięczni za chwilę wythnienienia od przykrych obowiązków i mogli skupić się na promocji, a więc na tym, co lubili najbardziej. Niektórzy nawet wyjeżdżali na wakacje. Dla pisarza wydającego jedno kilkusetstronicowe tomiszcz na kwartał była to sprawa nie do przecenienia. Dlatego płacili bez oporów. Teraz miałam na parówki, w których

mięsa było więcej niż pięć procent. Po kryjomu dawałam dzieciom awokado. Nie chciałam, by Zbyszek się dowiedział. Nie miałam serca odbierać mu przeświadczenia, że jest w stanie utrzymać rodzinę. Cieszył się z mojej gospodarności jak dziecko.

Dlatego kiedy Miss MOPS-u 2018 zaczęła drążyć temat, wpadłam w lekką panikę. Otworzyłam lodówkę i zaproponowałam, że zrobię sok ze świeżych marchwi. Takich prawdziwych ze wsi, od sąsiadów zza ściany, mówiłam, wyrzucając ukradkiem torebkę z logo supermarketu. Ludzie tu w naszym bloku bardzo sobie pomagają. Jeden jajka przyniesie, drugi ćwierć świniaka. Aż niewiarygodne w naszych czasach, prawda? Urzędniczka odłożyła długopis i przyznała z pewną nieśmiałością, że takiego świeżo wyciskanego w zasadzie chętnie by się napiła.

Piętnaście minut później zaczęła wyjmować ze sztywno uplecionego koka metalowe wsuwki. Odkładała je na niski stolik obok szklanek z sokiem, prawdopodobnie nieświadoma nawet tej czynności. Wahałam się przez dwie minuty, po czym z przepaszającą miną odłożyłam je wszystkie na regał, poza zasięg Edzia. Zanim wróciłam na kanapę, jej włosy były już całkowicie rozplecione i opadały na opalone ramiona jak gałęzie wierzby płaczącej.

– Wrócił do mnie smak z dzieciństwa – powiedziała z uśmiechem, który po raz pierwszy nie przypominał grymasu. Nad jej górną wargą powstała pomarańczowa otoczka.

– Mama zawsze mi wyciskała taki sok – wytłumaczyła. – I robiła kogel-mogel z jajek od naszych kur. Mieliśmy kilkanaście kur i dwa koguty – uzupełniła po chwili. Spojrzała na swoje szpilki. Wyjęła z nich stopy i teraz bawiła się, balansując palcami na tylnej krawędzi. Srebrny napis Jimmy Choo co chwila pojawiał się i znikał z zasięgu mojego wzroku.

– Nigdy nie chciałam wyjeżdżać ze wsi, dobrze się tam czułam – zaczęła, choć o nic nie pytałam. W końcu to ona była tu od ciągnięcia za język. – Ale mąż musiał robić karierę. Nie mieliśmy wyjścia. Marysiu, błagał, ja ci w mieście nieba uchylę. Wyobrażacie sobie? Nim się obejrzałam, utknęliśmy w betonowym apartamencie w Wilanowie, z garderobą pełną sztywnych garsoniek i sztych na miarę garniturów. Żona postać musi się jakoś prezentować, tłumaczył. Nieba jakoś nigdzie nie było widać, pewnie za niskie piętro.

Dopiero wtedy skojarzyłam nazwisko, które podała nam podczas pierwszej wizyty, z łysiejącym gościem rozlicznych programów publicystycznych puszcanych po wiadomościach. Zaczęłam się zastanawiać, czy dziś jest w totku jakaś kumulacja.

Na studia poszła z nudów, żeby nie ślęczeć samotnie w zbyt dużym mieszkaniu. Ze zdziwieniem odkryła, że nawet ją to interesuje. Po zajęciach do wieczora siedziała w bibliotece, o ile oczywiście nie była potrzebna na żadnym bankiecie. Na koniec studiów uzyskała najlepszą średnią na roku. Promotorka zaproponowała jej doktorat. Ale ona miała już plan na siebie. Chciała pomagać innym, bo ta Marysia to była dobra dziewczyna, z sercem otwartym jak Kotlina Panońska, wrażliwym na krzywdę najstabszych.

Nasz plan był gotów, jeszcze zanim zdążyliśmy zatrzaskać za nią drzwi. Pozostawało tylko przekonać do niego dzieci. Tyle że to właśnie było najtrudniejsze. Kinia nie miała najmniejszej ochoty zastępować lekcji baletu zajęciami w dzielnicowym zespole tańca ludowego. Staraliśmy się tłumaczyć, że to tymczasowe, że od tego zależy szczęście całej rodziny, nasze letnie wyjazdy, warsztaty gry na bębnach i słodkie płatki do porannego mleka. Była nieugięta. Spryciara wiedziała, ile może ugrać. Ostatecznie obiecaliśmy jej sikającą lalkę, wizytę w parku rozrywki na drugim końcu Polski i gofry z bitą śmietaną w każdą niedzielę przez najbliższe trzy miesiące. Startowała z sześciu, więc i tak czuliśmy się zwycięzcami. Z Krzysiem poszło łatwiej, w końcu to trzylatek. Nie miał nic przeciwko temu, żeby przed każdą wizytą Marysi biegać boso po kałużach i bawić się w błocie. Na ścianach zawiesiliśmy makatki: każda żona tem się chlubi, gdzie kucharz sześc, gość w dom. No właśnie, gość w dom. W nasz przychodził coraz częściej. Nie nadążałam ze sprowadzaniem wiejskich jajek. W miesiąc wyplułam z siebie best-seller, żeby wymienić zastawę stołową w wersji *basic minimalistic* na ozdobną ceramikę z Bolestawca. Zdobyłam nawet jakąś nagrodę, widziałam w telewizji, jak ktoś ją za mnie odbiera i dziękuję żonie za cierpliwość, jaką wykazała się podczas tego niezwykle trudnego okresu, gdy musiał się skupić na pisaniu.

Tymczasem nadeszła wiosna i znajomi, których podczas jednego z wieczorów okraszonych pierwiastkiem absolutnym wtajemniczyliśmy w naszą wstydliwą sytuację, zaproponowali, że na kilka dni użyczą nam swojej działki pod Radomiem.

– To zupełny koniec świata, lasy, chałupy i zapach końskiego łajna. Zaproście ją, będzie zachwycona! – rzuciła Renata, mieszając w shakerze kolorowy koktajl. Nie sądziłam, że Marysia się zgodzi. Ale to właśnie ona uświadomiła mi, ile warte są moje wstępne osądy i jak głęboko mogę je sobie wepchać.

Codziennie budził nas kogut sąsiadów, Zbyszek zakładał sandały i na rozklekotanym składaku jechał po bułki. W tym czasie Marysia nastawiała rosół, który musiał pyrkać na kaflowym piecu przez co najmniej pięć godzin. Dzieci spędzały dni na budowaniu szafasów, tropieniu zwierzyny i pałaszowaniu owoców zrywanych prosto z drzewa. Nie wnikałiśmy, czy były już dojrzałe, w końcu nawet jeśli nie, to przecież nie one jedne. U sąsiadów zza płotu Kinia zaczęła się uczyć jazdy konnej. Siodła nikt tam nie widział. Pod koniec dnia nawet nie staraliśmy się ich wszystkich domyć. Do twarzy im było z brudem na policzkach i ziemią pod paznokciami. Białka oczu były wyraźniejsze, ładnie kontrastowały z cerą. Podczas szarej godziny opowiadaliśmy sobie najróżniejsze historie, Krzys wtulał się we mnie, jak gdyby próbował znaleźć oparcie dla całej powierzchni swojego ciała. Kiedy w ciemności nie odróżnialiśmy już nawet zarysów przedmiotów, kładliśmy się spać. Jeżeli kiedyś teściowa, dowiedziawszy się o trzeciej ciąży, oskarżała nas, że jak nieodpowiedzialne dzieci bawimy się w dom, teraz moglibyśmy sprostować, że owszem, niech jej będzie, tylko zastrzegamy wyraźnie: nie w dom, a w chałupę.

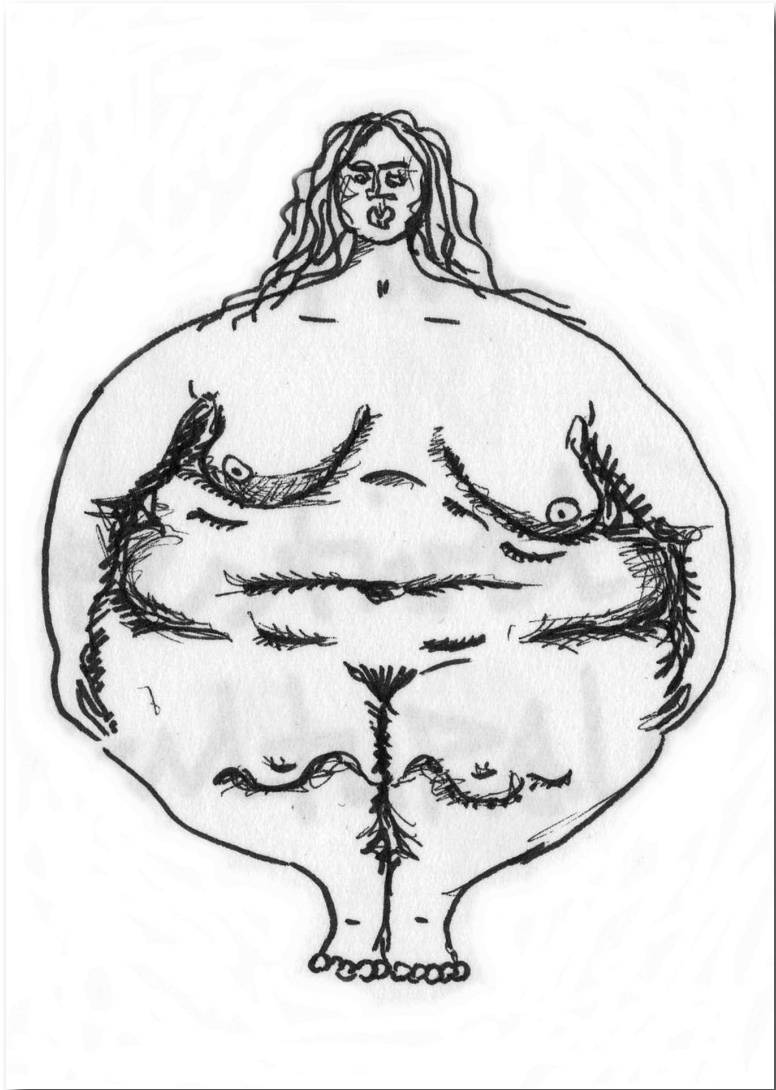
Ostatniego wieczoru odwiedzili nas sąsiedzi z całej okolicy i choć było to zaledwie kilka gospodarstw, zrobiło się całkiem tłoczno. Ktoś przyniósł akordeon, kto inny skrzypce. Znalazła się nawet trzyczędowa harmonia. Jo ciebie, Josieńku, bardzom pokochała, ale mnie matula innemu wydała, zaintonowała Basia od leśniczego i pierwsze dźwięki skrzypiec rozległy się za moimi plecami. Dziesięć minut później pograjka trwała w najlepsze. Śpiewały kobiety, dzieci, śpiewali mężczyźni. Kinia tańczyła boso na mokrej od wieczornej rosy trawie. Nawet Edzio, z buzią umorusaną błotem, podrygiwał do taktu i klaskał w dłonie. Patrzyłam na Marysię, zaklętą w dźwięki, odczarowaną przypadkowo ze złej czarownicy w szlachetną wróżkę i pomyślałam sobie, że jest dobrze. A co najważniejsze, że tak już pozostanie.

Myłam akurat głowę, więc to Zbyszek otwierał drzwi w tamten poniedziałek, kiedy zamiast Marysi stanęła w nich Elżbieta Roszewska, lat 55, z czego 20 przepracowanych wzorowo w miejskich ośrodkach pomocy społecznej w różnych częściach kraju.

– Przejmuję waszą sprawę – oznajmiła chłodno i nie pytając nawet, czy może wejść, przesunęła Zbyszka nieznacznie w lewo. Musiała usiąść, to zrozumiałe, w brązowych czółenkach ze sztucznej skóry puchły jej stopy.

Kartka od Marysi doszła po dwóch tygodniach. Wróciła na wieś. Była nam wdzięczna, że naszym stylem życia pomogliśmy jej w podjęciu decyzji. Pisała o dojeniu krów, zapachu ziół i żubrach, które przechadzały się niekiedy w sąsiedztwie ich gospodarstwa. Patrzyliśmy na siebie ze Zbyszkiem, żenicami powiększonymi od czegoś, co nie dawało się określić. Może było to zdziwienie, może strach, a może wyobrażenie tych różowozłotyach wschodów słońca, o których tak ładnie pisała.

Mijały tygodnie. Łysiejącego pana widywałam już w telewizji coraz rzadziej, ale może to dlatego, że sama nie miałam zbyt wiele czasu na przerzucanie programów. W końcu był to moment, kiedy zaczynaliśmy poznawać się z Elżbietą i sporo jeszcze miało nam się przydarzyć.



Maria Cielecka, *Grafika*